



Czy to podchwytliwe pytanie? Wywiad z Terryem Pratchettem

Fahrenheit Crew



Terry Pratchett

Źródło: commons.wikimedia.org

Z Terryem Pratchettem rozmawia Neil Gaiman

Tłumaczył Marcin Zwierzchowski

Neil Gaiman: Jaka jest geneza pomysłu na „Niuch”?

Terry Pratchett: Nie mam pojęcia. Sądzę, że zaczęło się od rozważań nad postacią sir Samuela Vimesa, nad tym, kim teraz jest. A ponieważ uważałem, że jego wewnętrzny monolog jest interesujący, postanowiłem użyć sprawdzonego schematu fabularnego, w którym policjant wybiera się na wakacje, by się odprężyć. Wszyscy wiemy, jak kończą się tego typu historie. Wtedy uświadomiłem sobie, że przeniesienie Vimesa zmiasta, poza znaną mu strefę, będzie niezwykle przyjemne do opisanego.

NG: Straż mnie fascynuje. Opisujesz bezwzględnych policyjnych formalistów, jednocześnie jednak wciąż są to zabawne, mądre książki, których akcja rozgrywa się w fantastycznym świecie.

TP: Tak naprawdę, panie Gaiman, świat, do którego trafia Sam Vimes trudno określić mianem fantastycznego. Tak, są tam gobliny, ale ogólny klimat przywodzi namysł hrabstwa w środkowej Anglii. To kwestia pospolitości ludzi. Postaw Vimesa w sytuacji, która rozwinie się w ten sposób, azacznie działać realistycznie jak każdy inny policjant, rozumując w ten sam sposób. Pozostając jednocześnie Samem Vimesem, który podaje w wątpliwości swoje motywy i policyjne procedury.

NG: Co było inspiracją dla Sama Vimesa? Jak prawdziwi policjanci zareagowali na tę postać

i na Straż?

TP: W gabinecie mam trzy policyjne hełmy – prezenty od funkcjonariuszy, którzy są fanami Vimesa. Gdy jeździłem wtrasy promujące książki, w księgarniach pojawiali się policjanci. Nigdy nie wchodzili przez główne wejście, zawsze przez to dla personelu, skinąwszy głową w stronę kierownika, po tym, jak kolejka po autografy się kończyła. I to, co do mnie mówili było tak przewidywalne, że mogłbym mówić to za nich. Rzucali uwagi typu: Och, tak, [zjadliwy śmiech] zdecydowanie znalazłby się u nas Nobby Nobbs, a każdy posterunek ma swojego sierżanta Colona. Policjant, który mi to powiedział, sam wyraźnie był takim sierżantem Colonem. Znam wielu gliniarzy, miałem z nimi do czynienia, gdy pracowałem jako dziennikarz. Łatwo się o nich pisze; zachowują się zgodnie z utartymi schematami.

NG: To prawda, że w poprzednim wywiadzie powiedziałeś, że chciałbyś być jak Sam Vimes? Dlaczego?

TP: Nie wydaje mi się, żebym powiedział coś takiego. Ale wiesz, jak jest, a „jak jest” zmienia się, gdy się starzejemy. Autor zawsze może zagłębić się we własną osobowość i znaleźć aspekty siebie, w które może następnie ubrać wykreowane postacie. Odkąd zacząłem mówić o moim Alzheimerze, stałem się osobą publiczną; dwukrotnie byłem gościem na Downing Street, pisałem gniewne listy do „Timesa”, debatowałem w Izbie Gmin i do tego stopnia stałem się starym prykiem, że czasami siedzę skonsternowany imyśle: Tak naprawdę twoja praca polega na pisaniu kolejnej książki. Zmienianie świata jest zadaniem dla innych...Ale potem dochodzę do wniosku: Nie, nie jest! Tak więc, mając w pamięci fakt, że do dzieciaka z domu komunalnego ludzie obecnie zwracają się per „sir”, mogę wykreować obraz mentalny Vimesa.

NG: Gdy na czas pisania wcielasz się w Vimesa, widzisz jakąś różnicę w postrzeganiu świata, w porównaniu do tego, jak on wygląda, gdy piszesz z perspektywy Rincewinda czy Babci Weatherwax?

TP: Och tak, na pewno wiesz, jak to jest. Gdy już dana postać siedzi w twojej głowie, wystarczy, że pozwolisz jej żyć własnym życiem i zaczniesz opisywać, co robi, mówi czy myśli. To naprawdę tak działa. To balansowanie na granicy dziwactwa: wiesz, że to ty myślisz, ale myślenie jest napędzane przez moduł Sama Vimesa. Istnieje także w pełni funkcjonalny moduł Tiffany Obolałej, co jest dość dziwne.

NG: Na pewno masz wśród swoich książek jakichś dziwnych faworytów - pozycje, dla których twoja sympatia mogłaby wydać się innym niezrozumiała. Mogłbyś wybrać takich ulubieńców? Czy chciałbyś wskazać ludziom jakieś swoje książki, które bez tego mogliby przegapić?

TP: To dobre pytanie, ale odpowiedź jest trudna. Bardzo przyjemnie pisało mi się „Potworny regiment”, który pod pewnym względem jest bardzo bliski głównemu nurtowi. Po minimalnych zmianach akcja mogłaby się rozgrywać w czasie wojen o niepodległość Hiszpanii na początku XIX wieku. Obaj wiemy, że czasami, zbierając materiały do jednego projektu, nieświadomie robimy research do innego. Na przykład w trakcie zwykłego czytania książek na interesujący nas temat. To niesamowite, jak te wszystkie drobiazgi, o których czytasz w książkach z drugiej ręki, nagle przychodzą ci do głowy i składają się na fabułę. W gruncie rzeczy, pracując nad „Potwornym regimentem” sporo czasu spędziłem w księgarniach dla lesbijek.

NG: Czy są jakieś postacie ze Świata Dysku, do których planowałeś powrócić, ale jeszcze tego nie zrobiłeś?

TP: Gdzieś w mojej głowie siedzi pomysł na fabułę, której bohaterem jest Złowrogi Harry Lęk,

niekoniecznie będący współczesną wersją Saurona... Ale powiedzenie tego uświadomiło mi, że powinienem jeszcze nad tym popracować.

NG: W artykule o pisaniu z „The New York Timesa” Carl Hiaasen – autor, którego poleciłeś mi w czasie promocji „Dobrego omenu” – stwierdził: Każdy pisarz gdzie indziej szuka inspiracji i nie ma niczego wstydlwego w czytaniu nagłówków gazet. De facto jest to niezbędne, gdy tworzy się współczesną satyrę. Cięty humor opiera się na odniesieniach do aktualnych tematów... Niestety dla pisarzy, realne życie staje się zdecydowanie zbyt zabawne i nieprawdopodobne. Czy Świat Dysku, jako sceneria, pomaga ci od tego uciec? Czy jest narzędziem, które pozwala ci wykorzystywać nagłówki w sposób, jakiego nikt się nie spodziewa?

TP: Sądzę, że to znowu kwestia popolitości ludzi. Mam nadzieję, że wszystkie postacie ze Świata Dysku są rozpoznawalne i zrozumiałe i dlatego od czasu do czasu mogę postawić którąś z nich przed współczesnym problemem, jak na przykład Mustrum Ridcully i homoseksualizm. Po prawdzie, nigdy nie musiałem specjalnie szukać tego typu inspiracji; zazwyczaj to one podchodzą i kopią mnie w tyłek. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy „Świat finansjery” ukazał się zaraz przed kryzysem i wszyscy zaczęli mówić, że go przewidziałem. To nie było takie trudne.

NG: Jakie największe zmiany w postrzeganiu przez szeroką publiczność gatunków, w których tworzyłeś – głównie w prozie humorystycznej, science fiction i fantasy – obserwowałeś w ciągu minionych trzydziestu lat? A może tak naprawdę nic się nie zmieniło?

TP: To przyczynek do debaty. Moim zdaniem, obecnie fantasy i SF to tak naprawdę główny nurt. Ty na pewno widzisz to samo. Gdy ruszałem w pierwsze trasy promocyjne, ludzie przychodzący na spotkania byli – dla nas, którzy potrafili to określić – typowymi fanami fantastyki. Obecnie powieści ze Świata Dysku, jak większość moich innych książek, przeznaczone są dla tak zwanej „szerokiej publiczności”. Oczywiście, gdy niedawno razem z Robem byliśmy w Australii, zdawało nam się, że latamy na skrzydłach fandomu. Wchodzimy do sklepu, żeby kupić buty RM Williamsa – sprzedawczyni jest fanką. Weszliśmy do Davida Jonesa, by kupić parę spodni Calvina Kleina i pierwsza kobieta, na którą się natknęliśmy okazała się fanką – skończyło się na tym, że przez cały poranek pomagała nam przy zakupach. Następny był mężczyzna przy kasie i tak to się ciągnęło. Pracownicy lotniska byli fanami, a już na pokładzie samolotu, w połowie lunchu członek obsługi postawił przede mną bardzo ładną butelkę wina i powiedział: Żona kapitana jest pana największą fanką. Jest to trochę nerdowskie. Głęboko zakorzeniony obraz czytelników moich książek jest taki, że wszyscy mają czternaście lat i nazywają się Kevin. Ale wiesz, ten nastolatek zdążył już dorosnąć, i wciąż czyta, podobnie jak jego dzieci.

NG: Odkryłeś może ostatnio jakieś cudowne książki nawiązujące do ery wiktoriańskiej?

TP: Wierzę, że posiadam prawie wszystkie wydane pozycje tego typu. Zabawne, że pytasz, ponieważ w czasie wolnym od kończenia powieści „The Long Earth” pracuję nad książką osadzoną we wczesnej erze wiktoriańskiej, w której chcę wykorzystać wszystkie te cudowne rzeczy, na które razem zenną natrafiłem, gdy odwiedzaliśmy księgarnie na Tottenham Court Road w Londynie. Mimo to wciąż kolekcjonuję tego typu rzeczy. Nie wspominałem ci, że wHy-on-Wye natrafiłem na kolekcję bardzo dużych książek z serii „Londyn wtedy idziś” i uświadomiłem sobie, że „dziś” było rokiem 1880. Znalazł się tam nawet uroczy drzeworyt z Pierwiosnkowym Wzgórzem, gdy jeszcze rosły na nim pierwiosnki. To naprawdę cudowne rzeczy. Drobiazgi, których ludzie mogą nawet nie zauważać, a które dla mnie są jak mucha dla dorastającego pstrąga.

NG: Jak Świat Dysku zmieniał się na przestrzeni lat?

TP: Chyba najprościej powiedzieć, że wciąż jest w nim humor, ale gagi nie są już ustawiane; wynikają z charakterów postaci i z sytuacji. Obecnie humor wydaje się pojawiać samoistnie.

NG: Jak pisanie powieści ze Świata Dysku wpłynęło na to, jak widzisz otaczającą cię rzeczywistość?

TP: Myślę, że bliższe prawdy jest to, iż starzenie zmienia sposób, w jaki patrzymy na świat. Na przykład w „Niuchu” znajdują się elementy, o których nie mógłbym pisać mając dwadzieścia pięć lat. Chociaż pisanie zająłem się jeszcze przed powstaniem Świata Dysku, naprawdę nauczyłem się pisać, na ile to możliwe, właśnie przy pracy nad tym cyklem. Obecnie w moich książkach – jeżeli nie uznać ich za poważne – mierzę się z poważniejszymi tematami. Nie chodzi już tylko o rozbawianie. Mój obraz świata się zmienił; czasami czuję, że świat jest pełen rozsądnych ludzi, który rozumieją ten wątek i cholernych idiotów, którzy tego nie łapią. Oczywiście, wszyscy miłośnicy Świata Dysku rozumieją to doskonale.

NG: Jak pisanie powieści ze Świata Dysku zmieniło to, jak świat widzi ciebie?

TP: Zmieniło? Mój agent zwrócił mi kiedyś uwagę, że byłem cytowany przez felietonistę amerykańskiej gazety i zauważył z zadowoleniem, że identyfikowano mnie jedynie poprzez nazwisko, bez objaśniania, kim jestem. Najwyraźniej spodziewano się, że czytelnicy będą to wiedzieć. Mam sporo doktoratów honoris causa; jestem między innymi profesorem angielskiego na Trinity College w Dublinie i członkiem King's College London, a do tego mam tytuł szlachecki. Poza tym, chociaż dla zastępców redaktorów wciąż pozostaję autorem zakręconego fantasy, muszę przyznać, że moje teksty są odrzucane coraz rzadziej.

NG: Jesteś szanowany?

TP: Czy to podchwytliwe pytanie? Jeżeli tak, odpowiem twierdząco. Zasadniczo staram się postępować zgodnie z prawem, płace podatki (które są strasznie wysokie), przekazuję pieniądze na cele dobroczynne i pisuję listy do „Timesa”, które są drukowane. To dziwne określenie: szanowany. Czy „szacun” nie jest tym, co chciałby mieć każdy dzieciak i liczy, że uzyska to za pomocą noża? Na pewno angażuję się w wiele rzeczy i zaraz po zakończeniu tego wywiadu będę wkurzał lokalnego przedstawiciela parlamentu. Sprawia mi to frajdę. Świat Dysku i Alzheimer sprawiły, że mój głos się liczy.